№ 52.

Warszawa dnia $\frac{16}{28}$ Grudnia R. 1867



NOWOSCI DOTYCZĄCYCH GOSPODARSTWA DOMOWEGO

W Warszawie *kwartalnie* rs. 1 k. 50, **na prowincji i w Cesarstwie** *półrocznie* rs. 3 k. 75, **Koperta** *półrocznie* rs. 1
Prenumerować można na wszystkich stacjach pocztowych.

Od Redakcji.

Z powodu zmiany w systemie ekspedycji pocztowéj Gazet i pism perjodycznych, mamy zaszczyt podać do wiadomości, iż od nowego roku dla prenumeratorów nadsyłających [illegible] Redakcji wysokość opłaty jako w opaskach pozostaje ta sama jaka dotąd obowiązywała, prenumerujący zaś za pośrednictwem Poczty czy na prowincji lub w Warszawie do zwyczajnéj opłaty obowiązani są dołożyć należytość za kopertę do każdego oddzielnie pisma. Skutkiem tego od nowego roku 1868, kosztować będzie.

TYGODNIK MÓD

Na poczcie: Półrocznie rs. 4 kop. 75. — w Redakcji rs. 3 kop. 75.

PRZYJACIEL DZIECI

PISMO ILLUSTROWANE Z DODATKIEM UBIORÓW DLA LALEK I ROBÓTEK DLA PANIENEK.

Na Poczcie: kwartalnie rs. 1 kop. 75. — w Redakcji rs. 1 kop. 25.

PRZEGLĄD ROLNICZY

(Goniec wiejski).

z tablicami budownictwa wiejskiego i drzeworytami.

Na Poczcie: kwartalnie rs. 1 kop. 50 — w Redakcji rs. 1.

KORESPONDENCJA Z PARYŻA.

(Dokończenie).

Wszystkie moje usiłowania były daremnemi, i pomimo rozmaitych dowcipnych powiastek i zgrabnych żarcików nie zaproszono mnie na obiad, ale uciekano jak od zapowietrzonego. Nie pojmuję zupełnie co to wszystko ma znaczyć i przypuszczam jedynie jakiś spisek uknuty tajemniczo. Taki stan rzeczy nie może trwać dłużéj, udam się pod opiekę prawa z żądaniem zobowiązania każdego z obwinionych, do wydania pietnastu przynajmniéj obiadów odpowiednio do mojego rozporządzenia co do liczby potraw i rodzaju zastawy.

Widzimy z tego zarysu, że położenie darmozjada w Rzymie nie było bardzo świetne, i los jego nie był godnym zazdrości. Zdaje się że stanowisko kucharza było daleko pomyślniéjszem, bo w jednym z utworów Planta napotykamy go mówiącego z wielką przechwałką:

„Gdyby nie sztuka kucharska to ród ludzki zaginąłby dawno. My utrzymujemy zdrowie w należytéj czerstwości, i każdemu co żywi się potrawami przezemnie przyrządzonemi, przyrzekam dwieście lat życia niezamąconego najlżejszym bólem głowy. Dosyć powiedzieć że dym ulatniający się z moich rondli służy dla Jowisza za posiłek wieczorny.

Po upadku Rzymu następuje epoka barbarzyństwa, naturalnym więc porządkiem rzeczy zabytki cywilizacyi i nieodłączna od nich sztuka kucharska, kryją się trwożliwie po klasztorach pod osłoną pustyń i obszernych lasów, jako przyszłe nasiona dalszego rozwoju cywilizacyjnego. Nastąpiło zupełne rozbicie świata starożytnego; z gruzów i popiołów miał powstać nowy porządek rzeczy, ale to przejście połączone było z ogólnem zamięszaniem i wedle opisu Carema nastąpiły czasy tak straszne, że wszystkie związki rodziny i przyjaźni zerwane zostały. Wślad zatem nauki znikły, książki stały się rzadkością i tylko siła fizyczna była bożkiem przed którym chętnie chylono głowy.

Wśród takiego stanu rzeczy przechowywano troskliwie rękopisma i księgi w archiwach leśnych, urządzonych na prędce, oczekując cierpliwie i z wytrwałością lepszych czasów. Składy tego rodzaju utrzymywano jak najporządniéj oprawiając księgi, kopiując rękopisma, spisując katalogi i t. p. a od czasu do czasu dla utrzymania tradycji sztuki kucharskiéj, w dnie dozwolone dla osób znakomitych, wyprawiano świetne uczty nader różne od prostych i pospolitych potraw ówczesnych plemion zwycięzkich. Pozostało niewątpliwe świadectwo, że we Francji szczególniéj w Poitier odznaczała się kuchnia wielką wytwornością, tak że z wielu stron zbiegały się różne znakomitości, aby napełnić żołądek w sposób tak przyjemny dla ich podniebienia. Widzimy zatem że z upadkiem cywilizacji liczba darmozjadów powiększyła się, a nawet nazwisko jednego z nich przechowanem jest do dnia dzisiejszego. Był nim Venantius Fortunatus ostatni poeta rzymski, który po rozbiciu państwa rzymskiego nie mogąc uczęszczać do domów arystokratycznych, jeździł długi czas od klasztoru do klasztoru, zjadał smaczne potrawy, aż nareszcie w Poitier osiadł stale, został księdzem i doszedł z czasem do wysokich godności.

Łatwo pojąć że schronienia tego rodzaju jakkolwiek przechowywały tradycją nie wiele mogły się przyczynić do rozwoju sztuki kucharskiéj. To też dopiero w dziesięć wieków po upadku Rzymu, spostrzegamy w niektórych miastach włoskich jak Wenecja, Florencja, Genowa, wychodzącą z odrętwienia sztukę kucharską i przyoblekającą się nowym blaskiem. Rzeczywiście Włochom należy się wdzięczność od wszystkich zwolenników dobrego jedzenia, że poczeli myśleć o przyjemnościach smaku i na tém polu równieź jak i w dziedzinie sztuk pięknych, okazali talent tak wielki że daleko po za sobą zostawili Greków i Rzymian. Wytworność bowiem pierwszych połączyli z przepychem drugich, unikając tego wszystkiego co oznaczało skażony smak lub dowodziło zepsucie. Najświetniejszy stan kuchni włoskiéj przypada na tę epokę, kiedy Włochy jaśniały blaskiem takich ludzi jak Leonard de Vinci jak Rafaël, jak Leon X, dom Medyceuszów i t. p. Kuchnia wykwintna i pożywna, wolna od wszelkich nadużyć, posługiwała do karmienia ludzi będących prawdziwą chwałą całéj ludności. — Francuzi pierwsi potrafili sobie przyswoić sekreta kuchni włoskiéj, a zarazem pierwsi w wiekach średnich, zaprowadzili zwyczaj zapraszania dam na uczty. Franciszek I w ten sposób odezwał się do kobiet, wzbraniających się wejść do sali jadalnéj pomimo wezwania marszałka:

— Wejdźcie panie wejdźcie, bo sala jadalna bez kobiet, jest tem samem czem ogród bez kwiatów.

Związki małżeńskie zawierane pomiędzy królami francuzkiemi a księżniczkami włoskiemi, przyczyniły się wiele do przeniesienia wszelkich sekretów kucharskich z jednego kraju do drugiego. Potrawy najwięcéj przyswojone w rozmaitych krajach i uważane za narodowe, wzięły swój początek z Włoch, dosyć w téj mierze przytoczyć zrazy znane nam dobrze, które wraz z królową Boną przyjechały do Polski. — Katarzyna zaś Medicis wpłynęła wiele na przyswojenie we Francji kuchni włoskiéj, tak że nawet nazwiska dawnych potraw francuzkich zaginęły zupełnie, tonąc w pyle niepamięci. Niemcy również przyswoili sobie kuchnię włoską, ale jako położeni więcéj na północy i z usposobienia pracowici, starali się o potrawy więcéj pożywne. Pan Conus tak wierzy w ogromny wpływ pokarmów na postępowanie człowieka, że nie wacha się objaśniać w ten sposób najważniejszych wypadków historycznych. Wedle niego reforma dla tego tak łatwo przyjętą była w północnych Niemczech, że znosiła posty nakazywane przez kościół katolicki, wypadki zaś francuzkie z końca zeszłego wieku tłomaczy również w sposób oryginalny, dając za dowód główny, że warstwy niższe jadły za mało i cierpiały nędzę, warstwy zaś wyższe dopuszczały się zbytku w jedzeniu żyjąc wyłącznie tylko, aby jeść, pić i bawić się. Wypadki te były nieuniknione, nędza i zbytek zastąpione zo-

stały przez umiarkowane używanie pokarmu i napoju i dopóki taki stan rzeczy utrzymywać się będzie, dopóty spokój wewnętrzny jest zapewnionym. Skoro zaś tylko to umiarkowanie zniknie, skoro jedne kuchnie staną się świątynią nędzy, a drugie zbytku, ludzkość przejdzie przez nową katastrofę, bo do jéj regularnego rozwoju potrzeba koniecznie, aby żołądki ludzkie nie były ani zbyt przepełnione ani zbyt czcze, ale napełnione miernie pokarmami posilnemi, bo tylko w takim stanie człowiek jest zdolnym należycie wypełnić obowiązki, stając się prawdziwie pożytecznym członkiem społeczeństwa.

K. Gr........

Nauki pomocnicze

DO ZROZUMIENIA DZIEJÓW LUDZKOŚCI.

I.

Antropologja i jéj rozwój.

Jedną z przyczyn sprowadzających stopniowe udoskonalenie człowieka, a tém samem narodu i całéj ludzkości, jest niezaprzeczenie ta okoliczność, że umysł ludzki również jak i ciało potrzebuje pokarmu, i wyjąwszy osób dotkniętych idjotyzmem lub pomięszaniem, nie ma istoty ludzkiéj tak upośledzonéj, którаby nie pragnęła rozszerzyć zakresu swéj władzy. Skarby jéj również jak skarby materjalne zebrane sumienną i uczciwą pracą nadają człowiekowi pewną powagę w świecie społecznym i wywołują mimowolne poszanowanie, jakie zawsze obudza silna wola niezrażająca się trudnościami, ale umiejąca wytrwać na raz obranéj drodze. — Tak jak potrzeba pokarmu tak również i potrzeba wiedzy objawia się w człowieku od pierwszych chwil jego niemowlęctwa. Dziecię spoczywające na ręce piastunki z ciekawością ogląda każden przedmiot po raz pierwszy dostrzeżony, a skoro tylko zdobędzie możność wyrażania swych myśli, to spieszy zadawać pytania często tak głębokie i niespodziewane, jakby ułożone były przez człowieka dorosłego.

To pragnienie zyskiwania coraz obszerniejszych wiadomości, właściwe umysłowi ludzkiemu, jest głównem źródłem rozwoju wszelkich gałęzi nauk, a zatem jest jedną z głównych sprężyn stopniowego udoskonalania się rodzaju ludzkiego. Siła ta jednak zostawiona saméj sobie, bez wskazówek bliższych łatwo bardzo może przybrać kierunek najfałszywszy, a tém samém zamiast pożytku przynieść szkodę, potrzeba więc było pewnego rodzaju sił ochronnych, mogących utrzymać człowieka na właściwéj drodze przeznaczenia, aby go uchronić od przykrych zawodów wypływających ze zbłąkania, a tém samém ułatwić mu niejako możność dopełnienia celu naznaczonego przez Stwórcę.

Temi siłami są ideje wrodzone człowiekowi czyli objawione, a mianowicie idea Boga jako pierwotnéj przyczyny wszech świata i ideą nieśmiertelności duszy objaśniająca człowieka, że jest pośredniem ogniwem między światem duchowym i materjalnym.— Te więc dwie ideje odkrywają przed oczyma jego duszy świat duchowy, a uczucie głodu i chęć wygody, skłaniają go do badania tajemnic materjalnego świata.

Badanie rzeczy materjalnych i robienie z nich należytego użytku nie nastręczało dla człowieka zbyt wielkiéj trudności, bo siły ciała i siły umysłu aż nadto do tego celu wystarczały. Badanie jednakże świata duchowego i praw jakim poddany jest człowiek jako istota materjalno-duchowa, napotykało bez porównania na większe trudności, głównie z powodu zbytniéj przewagi w człowieku materji nad duchem, a to tak dalece, że nawet wybrany lud Izraela do przechowania i upowszechnienia idei jedynego Boga często bardzo zapierał się swego posłannictwa, oddając się bałwochwalstwu. Siły złożone w umyśle ludzkim nie były jeszcze dostatecznemi, aby człowiek zrozumiał cel dla którego był stworzonym, aby wyrobił samoistnie metodę postępowania dla siebie zgodną z tym celem ostatecznym i dla tego też Stary i Nowy testament zawierają prawdy nazywane objawionemi, ponieważ umysł ludzi owoczesnych nie tylko nie był zdolnym do ich sformułowania, ale nawet wyznać należy że je z trudnością pojmował.

Objawienie dotyczące głównie strony moralnéj człowieka, miało na celu podać nam środki praktyczne, do co raz większego udoskonalenia duchowego, a ponieważ owo pragnienie wiedzy o którem mówiliśmy nie było odjętem człowiekowi, i jest zawsze siłą mu wrodzoną, pokazuje się zatém, że badanie rozumem ludzkim praw świata materjalnego i duchowego, jest zgodnem z wolą Stwórcy, a objawienie jest tylko środkiem pomocniczym dla człowieka, aby go utrzymać na drodze prawdy i uchronić od moralnego zbłąkania. Powyższy wywód jest aż nadto dostatecznym do usprawiedliwienia téj prawdy, że objawienie i rozum ludzki nie tylko pod żadnym względem nie są sobie sprzecznemi, ale przeciwnie wzajemnie się dopełniają. Objawienie bowiem nie przyniosło by żadnego pożytku, gdyby rozum ludzki dla braku swego rozwoju nie był zdolnym do zastosowania w praktyce praw objawionych; z drugiéj znów strony, na cóż by się przydał największy rozwój umysłowy, skoroby człowiek nie pojął swego stosunku do Stwórcy i nie dążył do coraz większego udoskonalenia moralnego, czyli do coraz większéj przewagi nad ciałem —Znaczna jednakże część ludzi nie pojmuje jeszcze prawdy tak oczywistéj i uwodząc się pozorną różnicą między siłą rozumu ludzkiego, a siłą objawienia, starała się udowodnić, że te dwa dary Boże pozostają z sobą w sprzeczności, że niepodobna jest pogodzić rozumu z objawieniem, czyli wolnego rozbioru z powagą nakazującą bezwarunkową wiarę i zupełne posłuszeństwo. Nie chcemy ani potępiać ani uniewinniać jednéj lub drugiéj strony, bo obydwie zarówno nie są wolnemi od zarzutu. Zwolennicy bowiem powagi zanadto chcieli ograniczyć działalność rozumu ludzkiego i zanadto przywiedli go do nicości, zwolennicy zaś rozumu zanadto uwierzyli w jego potęgę, odrzucając to wszystko, co Stwórca udzielił człowiekowi dla ułatwienia mu moralnéj pielgrzymki doczesnéj.

Umysł ludzki odzyskawszy samoistność jakby dla lepszego stwierdzenia swéj swobody i okazania potęgi, skierował usiłowania przeciwko źródłu pierwotnemu, to jest przeciwko Biblji, usiłując w najrozmaitszy sposób wykazać błędy i sprzeczności w dziele, któremu nadawano przymiot nieomylności. Skoro jednak z upływem czasu namiętności przycichły, przekonano się nareszcie że w wieku XIX należy nie burzyć, ale budować, i że wiara w objawienie nie tylko nie sprzeciwia się działalności rozumu ludzkiego, ale przeciwnie ułatwia mu pracę, dając podstawy nieomylne, a tem samem ochraniając go od zbłąkania.

Gorączka przeminęła szczęśliwie, wiele zarzutów robionych Biblji zwycięzko odparto, pozostał jednakżeż z owéj epoki jeden punkt tajemniczy i niewyjaśniony i uwydatniający ważną sprzeczność pomiędzy księgami spisanemi przez mężów natchnionych, a faktami czerpanemi ze świata fizycznego. Owa sprzeczność zasadzała się na tém: że księgi Mojżesza mówią o istnieniu człowieka przed potopem, a tymczasem w pokładach ziemnych znajdowano rozmaite zabytki należące świata zwierzęcego do roślinnego i mineralnego, a pomimo starannych poszukiwań nie napotkano nigdzie najmniejszych śladów udowadniających w sposób niewątpliwy, że i człowiek był obecnym wśród olbrzymów przedpotopowych. Okoliczność ta uważaną była za tak pewną i niewątpliwą że rozmaici uczeni starając się ująć w jakiś systemat naukowy owe czasy odległe, oparli swą chronologją na kolejnem ukazywaniu się rozmaitego gatunku zwierząt, których szczątki zachowanemi były w pokładach ziemi po sobie następujących, i dlatego odróżniano epokę słoni od niedźwiedzi, tę znowu od jeleni i t. p.

W niektórych szkołach europejskich profesorowie religji, opowiadali historją Noego. Cudowne jego ocalenie i t. p. profesorowie zaś geologji zapewniali z całą uroczystością, że w czasach przedpotopowych istniały drzewa, rośliny, zwierzęta, ale nieobecność człowieka została już stanowczo udowodnioną. Opinja tego rodzaju, mogła zyskiwać tem szersze koło zwolenników, że do jéj upowszechnienia przyczynił się głównie Cuvier człowiek wielkiéj nauki i wielkiego talentu.

Wśród takiego położenia rzeczy prawie jednocześnie w różnych stronach Europy, pracujący w robotach podziemnych, postrzegali dziwnego kształtu kamienie zaostrzone po bokach, jakby ręką ludzką, a które mogły służyć do takiego samego użytku do jakiego służą dzisiaj siekiery. Pierwszy pan Bouchet de Perthes w kopalniach zwiru około Abbeville we Francji odkrył te tajemnicze narzędzia i opis ich dokładny przesłał do rozmaitych towarzystw naukowych, razem z rozprawą udowadniającą istnienie człowieka w czasach przedpotopowych. Opracowanie to spowodowało nadzwyczajne wstrząśnienie w świecie naukowym, niweczyło ono bowiem teorją Cuviera, którą uczniowie tego wielkiego pod wielu względami męża bronili z zapałem, z drugiéj znowu strony bez względni zwolennicy filozofów XVIII wieku niechętnie przyjmowali wiadomość, że jeden z zarzutów czynionych Biblji upada jako bezzasady. Najwięcéj jednak niepokoili się ludzie mający ustaloną sławę uczonych, a tem samem nie chcący się przyznać do najmniejszego błędu. Do niechęci wypływających z tak różnorodnych przyczyn, należy dołożyć jeszcze niedowierzanie ogólne, bo wielki człowiek wprawdzie z łatwością upowszechnia prawdy, ale też zarazem i błędy skoro te cisną się do jego opracowań.

Te wszystkie okoliczności razem wzięte spowodowały, że mniemanie pana Bouchet de Perthes odrzucono prawie ogólnie, a przyczynę że kamienie miały nadaną formę siekier, przypisywano albo mistyfikacji złośliwéj albo też wzajemnym uderzeniom tych ciał w czasie rewolucji fizycznych. Nowa jednakżeż myśl jakkolwiek odepchnięta przez zgromadzenia uczone, zwróciła baczną na siebie uwagę wielu pojedynczych ludzi, dosyć wysoko stojących pod względem wyrobienia moralnego, aby śledzić prawdę bez względu na drobne sprawy ludzkie, będące dla wielu ostatecznym celem życia. Dwóch więc anglików panowie Presvitch i Flover wr. 1858 udało się umyślnie do kopalni gdzie znajdowano kamienie zadziwiające swoim kształtem, i tam naocznie przekonali się że w pokładach ziemnych, noszących ślady potopu, znajdują się kamienie mające wyraźny kształt siekiery. Kamienie tego rodzaju wyjęte były przez tych uczonych z samego ich łożyska i z massą potopową stanowiły pewnego rodzaju całość.

Oprócz tego otoczone były powłoką wyrabiającą się jedynie pod wpływem całego szeregu wieków. Niektóre z tych kamieni oprócz widocznego zaostrzenia, przedstawiały jeszcze otwór potrzebny do osadzenia rękojeści, a okoliczność ta jeszcze więcéj usprawiedliwiała przypuszczenie zrobione przez pana Bouchet de Perthes o bycie człowieka w chwili wielkiego wylewu wód.

Niemożność jednakżeż wykrycia kości ludzkich przedpotopowych ośmielało przeciwników nowéj teorji, a zachęcała jéj zwolenników do coraz nowych poszukiwań. Jakoż wkrótce w Pyreneach natrafiono na kilko piętrowe groty naturalne, w środku których znaleziono nietylko kości ludzkie i siekiery, ale nadto strzały wyrobione z kości i jeleniego rogu. Kości ludzkie pomięszane były z kośćmi słoni i innych zwierząt i otoczone materją nazywaną potopową, a fakt ten potwierdzonym był nowem odkryciem zrobionem w Anglji, bo w jednéj z kopalni napotkano strzałę tkwiącą w kości jelenia, należącego do przedpotopowego gatunku. O dalszych odkryciach wspominać nie będziemy, powiemy tylko ogólnie, że były one coraz częstszemi i coraz widoczniejszemi, tak że nawet najzaciętsi przeciwnicy zmuszeni byli do przyznania się, że istnienie człowieka przed potopem nie może uledz najmniejszemu zaprzeczeniu. Odkrytym więc został dla człowieka nowy świat dotychczas zupełnie nieznany, ale do jego opisania zabrakło tradycji ustnéj, zabrakło pomników pismiennych, a tylko trzeba było zanurzyć wzrok w głębiny ziemne, z drobnych szczątków domyślać się całości, i nietylko na podobieństwo Cuviera z jednéj kostki opisać ówczesnego człowieka pod względem fizycznym, ale nadto wskazać jaki był jego rozwój moralny i jaki układ społeczny. Łatwo można wyprowadzić wniosek, że w takim stanie rzeczy umysł ludzki posiłkować się musi hypo-

tezami zwracając baczną uwgę na okoliczność i choćby najdrobniejsze, bo w szczupłéj liczbie materjałów mających posłużyć do określenia świata zaginionego, najdrobniejszy zabytek staje się bardzo szacownym, posługując albo do sprawdzenia domysłu już stawionego, albo też do utworzenia nowego. Uważano więc, że kości ludzkie znajdują się gdzie niegdzie tylko, w pewnych miejscowościach dosyć od siebie odległych, że w niektórych punktach znajdują się w obfitości, a w takim razie obok nich nie zdołano znaleść nigdzie ani jednéj siekiery, tam zaś gdzie kości ludzkie napotkano pojedynczo, tam zazwyczaj można było znaleść i narzędzia kamienne.

(d. n.)

POGADANKA TYGODNIOWA.

Kiedy byłem w najlepsze zajęty układaniem noworocznych życzeń, aby starym obyczajem, rozłamać się z Wami bratniem słowem, w przedpokoju usłyszałem silne poruszenie dzwonka, potem wypytywania się o mnie, a następnie skrzyp drzwi i posadzki trzeszczącéj niemiłosiernie. Spojrzałem..... młoda kobieta, najwyżéj trzydziestoletnia, pełna życia i urody, co nie dziwi, a jednak pociąga, sunęła cichutko na paluszkach jak czająca się kotka.

Powstałem i kiedy nieznajoma zapatrzona na ruch targowy, miała głowę zwróconą ku oknu, ja nagle stanąłem tuż przy niéj.

— Ach! zawołała z lekkim przestrachem, ale w téj chwili rzucając na mnie badawcze spojrzenie, zapytała:

— Czy mam przyjemność mówić z Pawełkiem z Bielca?

— Piszę się wprawdzie z Bielca, odrzekłem ściągając usta do zjadliwego uśmiechu, ale nie Pawełkiem tylko Jankiem.

— Jankiem? To wszystko jedno, bo wszakże pan jesteś redaktorem Magazynu mód?

— Tygodnika mód, zapewne pani chciała powiedzieć, poprawiłem, powtórnie draśnięty w mojéj redaktorskiéj godności.

— Tak, tak, Tygodnika mód. Ale to wszystko jedno.

— Przepraszam łaskawa pani, ale na to zgodzić się nie mogę, bo wszelkie nazwy....

— Przepraszam równie pana mości redaktorze, przerwała nieznajoma, ale ja tu nie przyszłam na kazanie, tylko w celu porozumienia się w niektórych kwestjach bliżéj ogół obchodzących.

Umilkłem, a na twarzy nieznajoméj zaigrał przelotny uśmiech zadowolenia.

— Cóż więc pani rozkaże? zapytałem pokornie jak trusiątko. Ton mego głosu widać spodobał się nieznajoméj, bo uśmiechnęła się powtórnie, ale już z pewną życzliwością i zasiadając na kanapie, rzekła:

— Jestem z Bywalskich Czytalska, a wierna mojéj nazwie rodzinnéj i przybranéj, bywam wszędzie i wszystko czytam co drukujecie.

— A ja jestem...

— Wiem, wiem, Pawełek... chciałam powiedzieć Janek z Bielca. Wszak tak?

— Do usług.

— Otóż przedewszystkiem zapytuję was Janku z Bielca. jak możesz mieszkać w miejscu największego handlowego ruchu? Czy podobna korzystnie pracować w takim zgiełku, wrzawie, w ciągłym harmidrze nieraz krzykliwym aż do bólu uszu?

— Trudno, łaskawa pani, odrzekłem, tak krawiec kraje, jak mu materji staje, ale nie rozumiem w czem to ogół może obchodzić?

— I bardzo, chaos targowy stanowiący niejako atmosferę twego mieszkania, musi się także uwidomić w twojéj pracy, mój panie Janku. Dlatego nic dziwnego, że w tygodniowych swych sprawozdaniach...

— Pogadankach, poprawiłem.

— To wszystko jedno; otóż nic dziwnego, że w twoich pogadankach takie nieraz panuje zamięszanie chaotyczne, takie myśli i wyobrażenia nie z tegoczesnego świata. Gdybyś mieszkał w punkcie mniej ludnym a więcéj oddalonym od gawiedzi ulicznéj...

— Gdybym miał trzy tysiące prenumeratorów, przerwałem z westchnieniem, a pani Czytalska w téj chwili dołożyła:

— Życzę ci ich, życzę całem sercem i to życzenie proszę przyjąć jako noworoczny podarek.

— Och! pani! tyle dobroci...

— Nie ma za co, przerwała, pragnę ich nie dla ciebie mości redaktorze, ale dla nas twoich czytelniczek: nie dla twego podniebienia czułego zapewne bardzo na szampana i ostrygi, ale dla nas z usposobienia, z przyzwyczajenia, wreszcie z nałogu, lubiących wszystko co piękne, poetyczne, co zachwyca i unosi. W takiéj atmosferze, mówiła daléj wskazując rączką w ulicę, nic dziwnego że czasami jesteś szorstki, a często... niesmaczny.

— Poprawię się, odrzekłem przychylając głowę z uszanowaniem, a pani Czytalska wyciągnęła obie rączki i chwytając moją łapę, rzekła z największem przymileniem:

— Życzę ci tego równie całem sercem w noworocznem powinszowaniu.

— A ja płacąc, jak mawiali starzy, pięknem za nadobne...

— Jakież trywialne wyrażenie! Ale słucham daléj.

— Otóż płacąc pięknem za nadobne, powtórzyłem z naciskiem, życzę również pani w noworocznem powinszowaniu, mianowania i mnie i pisma mego, jeżeli łaska, właściwemi nazwami.

— Wdzięcznam niewymownie za życzenie, odrzekła pani Czytalska z lekką chmurką na czole, a idąc daléj w tak pięknie obmyślanym programie, życzę ci panie Janku, abyś zamiast Tygodnika Mód, nie wyprawiał swoim prenumeratorkom czasami np. Ga-

zetę handlową albo lekarską, bo przyznasz że to nie bardzo miły zawód.

— Już po kilka razy ogłosiłem w odezwach od redakcji, odrzekłem, że myłki takie nie pochodzą z winy naszéj.

— A kto je tam czyta!

— Więc przy noworocznem powinszowaniu, życzę szczerze chęci do pilnego ich czytania i...

— I cóż? zapytała widząc moje wachanie.

— I pamiętania, jeżeli łaska — dołożyłem.

— Wybornie! odrzekła z pewnym dąsem, jak to znać, żeś tylko Jankiem a nie Arturem. Ale mniejsza z tem, choć życzę równie szczerze, aby ta przemiana jeżeli nie w nazwie, to w usposobieniu nastąpiła.

— Czy i to pragnienie pani, mam włożyć na karb noworocznych życzeń?

— Naturalnie, wszak domyślasz się pewno mój Janku, że pamięć bytności mojéj u ciebie, pragnę zrobić jak najprzyjemniejszą i najtrwalszą.

— Serdeczniem obowiązany, odrzekłem i dołożyłem z pewnym przekąsem, postaram się na równą wdzięczność pani zasłużyć.

— O! możesz sobie trudu zupełnie oszczędzić.

— A! pani dobrodziejko, grzeczność nie pozwala.

— Idźmy więc daléj.

— Jestem na rozkazy.

— Co do Tygodnika Mód — odezwała się po małéj chwilce namysłu — jestem z niego dosyć zadowolona. Powieści bardzo dobre pomieszczacie i proszę o podobne w następnym roku.

— Mam ich trzy gotowe, oprócz dziś rozpoczętéj pani Wilkońskiéj piszącéj znowu nową dla Tygodnika.

— Życzę ci ich Janku jak najwięcéj. Ale powiedz mi, co znaczy takie twoje uporczywe szermierstwo za pracą, do któréj nie tylko mężczyzn ale nawet nas kobiety namawiasz?

— Bo praca pani dobrodziejko...

— Wiem — wiem — przerwała mi nielitościwa przeciwniczka— znam cały twój arsenał poetycznych deklamacji, wynoszących pracę na piedestał najwyższéj mądrości i wielkości. Dobre to dla dzieci, ale nie dla nas. Wreszcie że tam *jakiś* wędrowny biedak dziesiąty i dwudziesty, przyszedłszy do nas pieszo wykuł młotem albo chlebem miljony, to nie dowód abyśmy równie byli pochopni do tak niskiéj czynności. Pamięć przeszłości ma swoje znaczenie, czyż więc mam ci powtarzać, utarte zdanie o kwarcie i łokciu?

— Najprzód pani dobrodziejko—odrzekłem—owi *jacyś* jak pani raczyła nazwać niegdyś biedaków a dziś miljonerów, są to nie żadni *jacyś* ale ludzie zacni, pożyteczni dla kraju bo rozwinęli w nim przemysł i własną pracą nie szalbierstwem, nie dziedzictwem lub bogatem ożenieniem, przyszli do posiadanych fortun. Więc w miejsce lekceważenia należy się im cześć i poszanowanie. Wszakże dali nam przykład dlaczegoż go nie naśladujemy? Oni zaczęli od młota i chleba a skończyli na powozie, my przeciwnie zaczynamy zawsze od powozu a kończemy na wytartych łokciach i uganianiu się z komornikami.

— Hm! jest w tem troszkę prawdy, ale mój Janku *im* to przystoi i nie mogę sobie żadnego *z nich* inaczéj przedstawić, jak tylko z młotem w ręku albo w fartuszku przy stolnicy lub rondlu. Dla nas zupełnie to niestosowne. Młot, hebel, stolnica lub rondel, fi! jakaż to szkaradna proza...

— Jednak konieczna.

— A cóż to nas dziś może obchodzić?

— A jeżeli tak — odrzekłem powstrzymując oburzenie, to wzdychając wznośmy ku niebu ręce, wycacane, wypieszczone...

— I co jeszcze? zapytała piękna przeciwniczka z lekkim odcieniem szyderstwa.

Nic na to nie odrzekłem, byłem oburzony i zły.

— Żadnéj więc nie otrzymam odpowiedzi? zapytała wreszcie pani Czytalska. Więc rozmowa nasza ma się zakończyć? Otoż ja będę grzeczniejsza i nowe ci złożę Janku noworoczne życzenie, żebyś poprzestał harców donkiszockich o pracę w swoim Tygodniku, bo nas zanudzisz a siebie ośmieszysz.

— A ja życzę pani nawzajem w tym nowym roku odezwałem się, większego obudzenia w sobie poszanowania dla ludzi pracy i nienazywania ich z pogardą *jakiemiś*. Za wewnętrznem bowiem takiem przekonaniem, przyjdą czyny odpowiednie, i te łącząc się w coraz liczniejsze ogniwa, w coraz hartowniejsze....

— Ha! ha! ha! — przerwała ze śmiechem pani Czytalska — wybornyś mój Janku! Masz widzę niezmyśloną chętkę, wszystko zamienić w warsztaty, a nas wprządz w nie jak woły w jarzmo. Wybornyś! Życzę ci więc tego szumu, chałasu, tartasu i trajkotu warsztatowego, lubuj się w okopconych ścianach, delektuj wyziewami fabrycznych maceracji, ale nas zostaw w pośród pól usłanych zbożem, gajów napełnionych słowikami, w pośród naszych płaszczyzn utkanych małemi wzgórzami, a dzierganych złotemi nitkami promieni słonecznych."

— I owszem nic nie mam przeciw temu. Szum czy drzew, czy marzeń — odrzekłem niecierpliwie — wyborny do drzemki i spania, a my i jedno i drugie niezmiernie lubiemy.

— Dziękuję za tak pochlebne zdanie i o mnie i o nas wszystkich, ale życzę ci na nowy rok mój Janku, żebyś pod tym względem mniej pochlebiał a więcéj zważał na to co się nam może podobać.

— A ja życzę — odrzekłem — żeby się paniom więcéj podobała prawda jak pochlebstwo. Bo pochlebców tłumy a....

— A! to zapewne dla tego—przerwała pani Czytalska—od pewnego czasu częstujesz nas artykułami z ciężkich, poważnych nauk antropologicznych, żeby usposobić czytelniczki swoje do rozpoznawania prawdy od fałszu?

— Każda nauka jest badaniem prawdy, odrzekłem, więc i oderwane z niéj artykuły takąż są nacechowane dążnością.

— Tak jest w rzeczy saméj — odrzekła, ale prace podobne to nie dla nas kobiet, a przynajmniéj nie w Tygodniku modom poświęconym

— Przebacz pani, ale na to zgodzić się nie mo-

gę. Dlaczegóż by bowiem kobiety nie miały być godne skarbów nauki, która jedynie ludzi stawia w ich właściwéj godności? Czyżby kobieta nie była człowiekiem? Co do Tygodnika mód, to ten dając zawsze pół arkusza powieści blisko, cwierć arkusza pogadanki i innych drobiazgów, sądzę że nie grzeszy jeżeli cwiartkę poświęci, jakiéj poważniejszéj rzeczy. Na wielkim świecie jak Paryż, Londyn, pisma muszą się ściśle specjalizować u nas powinny być przeciwnie jak sklepy małych miasteczek w których papier listowy znajdziesz obok szyny żelaza, garnuszka z masłem, lub obwarzanków w warkocz splecionych.

— Rób jak ci się podoba mój Janku — odezwała się powstając pani Czytalska. Łatwiéj bowiem wielbłąda przepchnąć przez ucho igielne, jak literata i redaktora przeprzeć w uporze. Żegnam. I już postąpiła kilka kroków, doszła nawet do drzwi gdy nagle się zwróciła i wyciągając ku mnie ręce, rzekła:

— Dokuczyłam ci Janku porządnie.... żal mi cię.... szczerze, serdecznie. Czyż się gniewasz na mnie?

— Nie pani, redaktorom nie wolno gniewać się na swe choćby najsurowsze czytelniczki, ale wolno prosić o pobłażanie i wyrozumiałość.

— Wiem, wiem, a zatém zgoda?

— Najzupełniejsza.

— Zawsze jednak, dodała z uśmiechem niewysłowionego wdzięku, pamiętaj Janku, choć w tajemnicy przypominać sobie naszą rozmowę. Jest ona niejako usposobieniem ogółu...

— Więc ją opiszę i wydrukuję. Dobrze czasem z czytelnikami swemi bliżéj porozumiéć się.

— Drukuj Janku według woli, zastąpić to może noworoczne powinszowanie, zwłaszcza żeśmy życzeń sobie nawzajem wcale nie szczędzili...



Od czterech lat jak poznaliśmy bliżéj życie paryzkie, widzimy czwartą epidemją pojawiającą się w świecie mody. Epidemje to straszne, od których nie wyłącza ani wiek, ani położenie w świecie, którem ulegają wszystkie elegantki i nie elegantki, zacząwszy od sześćdziesięcioletnich babulek, do dziatwy poczynającéj zaledwie stawiać kroki, słowem epidemja tak ogólnie trapiąca tutejszą ludność, że ją tylko z katarem paryzkim porównać można. Pierwsza z nich była choroba *na stal*, która tak mocno grasowała przed trzema laty, że w końcu biedna *stal* poszła w tak wielkie obrzydzenie, iż nikt nosić jéj nie chciał. W następnym roku przyszła choroba na *łańcuchy Benoiton:* noszono je u kapeluszy i czepeczków, u pasków i okryciek; wyrabiano je na materjach jedwabnych, wełnianych i bawełnianych, wyszywano na kołnierzykach, chusteczkach i koszulach, aż nareszcie przyszło do tego, że materje w łańcuchy Benoiton, sprzedawano w tutejszych magazynach, za piątą część istotnéj wartości, i służące nawet kupować jéj nie chciały. W roku zeszłym przyszła zaraza *paciorek lawowych*, i ta najdłużéj ze wszystkich trwała, bo i dotąd jeszcze paletocik naszyty lawą nie razi nikogo w oczy, choć przesada w ozdobach paciorkowych stała się dziś śmiesznością.

Otóż więc mamy nową chorobę, która świetnym pozorem przyćmiła wszystkie inne, mówię tu o chorobie na *złoto*.

Kto sam tego nie widział, nigdy sobie nie wyobrazi, ile złota połyskuje na ulicach paryzkich. Każda niemal mężatka czy panna, musi miéć kapelusz podpięty złotym kwiatkiem, każda musi miéć kostium z serży albo sukienka, spięty na złote guziki, bądź płaskie, bądź okrągłe jak orzech. Nie dosyć jeszcze na tem, złoto przyświeca wszędzie, nie tylko na teatrach i wieczorach, ale niemniéj przy domowem ognisku. Żeby tem pewniéj zyskać sobie wiarę czetelniczek naszych, wypisujemy ogłoszenie wielkich magazynów Luwru, zamieszczone w dzisiejszych dziennikach. Osobną serją poświęcono tu samym przedmiotom z ozdobami złotemi, a że cena tych przedmiotów dosyć dostępna, można sobie łatwo wyobrazić jak się cały Paryż wyzłoci. Oto spis ich dosłowny.

Westki czyli kaftaniki orientalne do pokoju z pięknego sukna wyszywane złotem po franków 17 centymów 50.

Paletoty czarne sukienne przybrane złotem fr. 22.

Staniki jedwabne przybrane złotem fr. 19

Szmizetki kaszmirowe ze złotem fr. 14 do 78.

Szmizetki sukienne czarne ze złotem fr. 19 do 50.

Kapturki sukienne różnokolorowe ze złotem od 8 do 16 franków.

Spódniczki kaszmirowe przybrane złotem fr. 26.

Spódniczki sukienne ze złotem fr. 42.

Rotondy czarne sukienne ze złotem, podbite materją fr. 125.

Kostiumy eleganckie z czarnego sukna ze złotem złożone z paletota i podwójnéj spódniczki fr. 125.

Zdaje nam się że pozłocie, przyjdzie koléj na srebro uważaliśmy już w pierwszych magazynach strojów, kapelusze atłasowe białe i popielate mieniące się ze srebrem, przybrane wieńcem zmrożonych liści w których przyświeca srebro. Widzieliśmy także kostiumy spięte na rząd srebrnych oksydowanych guzików, ale są to dopiero próby czas pokaże czy się moda utrzyma i upowszechni.

Suknie czarne i ciemne z lekkiego sukienka, bardzo się często pojawiają w tym roku; strojniejsze mają szlak haftowany czarnym jedwabiem. Niektóre z nich robią długie, powłóczyste w formie Gabrieli podpinane z tyłu na ulicę, inne znów krótkie na takiejże saméj spódniczce, z odpowiednim palctocikiem—Jedne i drugie spinają na złote guziki, jednak kobiety zprawdziwie dobrym gustem, do sukien haftowanych czarnych, przekładają czarne guziki z pasmanterji, w formie wypukłéj, jak połowa orzecha.

Na suknie strojne najmodniejszy w tym roku atłas w kolorze jednostajnym, waniljowym, (kolor wanilji w strączkach, skabiozowym *vers anglais*) perłowym, nie mówię tu już o modnym kolorze wezuwjuszu, czyli ognisto ceglastym, gdyż ten jako zbyt excentryczny, nie może się upowszechnić na suknie. Do mniéj strojnego ubrania, uważaliśmy także ryps jedwabny w grube poprzeczne prążki, jednostajnego koloru.

Falbany do sukien coraz się więcéj upowszechniają, robią je zazwyczaj dosyć wązkie. Widzieliśmy suknię jasno fijołkową, w odcieniu cokolwiek czerwonawym, który pięknie się wydaje do światła, miała u dołu trzy falbanki z materji tegoż koloru, w paski czarne atłasowe szerokie na palec. Falbanki te dawane były ukośno paski szły zawsze na jedną stronę. Stanik z przodu otwarty, na piersiach miał wyłożenie z materji w paski; u dołu spinał się na trzy czarne szmuklerskie guziki, przepasywała go szarfa ukośna w paski, ze spadającemi z tyłu końcami. Rękawy były podwójne, jedne wązkie do ręki w paski, drugie szerokie pagody, zakończone falbanką.

Inna znów suknia czarna *poult de soie*, zamiast falbanek miała trzy rusze czarne podłożone materją koloru *mais*, epolety i mankiety przybrane były takąż różą. Główną ozdobą wysokiego stanika stanowiła chusteczka *Marie Antoinette*, z długiemi szarfami spadającemi z tyłu, ogarnirowane ruszą do koła.

Z modnych drobnostek uważaliśmy paski aksamitne czarne, dane na sztywnéj klijonce, przeszywane w odstępach rulonami z czarnego atłasu, spięte na rozetkę atłasową; z boku spadała torebka aksamitna, przytwierdzona do paska rulonem aksamitnym.

Krawatki futrzanne z łebkiem zwierzątka, tak białe jak i ciemne bardzo modne w tym roku.

S. z Ż. D.

Opis ryciny

Ubranie na wieczór. Suknia z gazy Chambery, lub z materji biała w zielone atłasowe pasy. Stanik krótki wycięty czworograniasto, przybrany w górze plisą zieloną. Pasek zielony spięty na rozetę. Z pod stanika wygląda modestka walansienkowa. Medaljon złoty zawieszony na aksamitce zielonéj. Na głowie przewiązana takaż aksamitka.

Ubranie balowe. Suknia jedwabna lilla o dwóch spódniczkach. Obie zakończone koronką. Stanik krótki, przybrany bertą koronkową, z pod stanika spadają dwie szerokie szarfy koronkowe przewiązane z tyłu, ze spadającemi końcami. Naszyjnik ametystowy, takież kolczyki i diadem na głowie. (Zamiast koronki może iść u dołu sukni woda illuzjowa i szarfa z illuzji).

— W Redakcji Tygodnika Mód i księgarniach są do nabycia następujące powieści:

Pan de Camors powieść Feuillet'a tłomaczona przez Joannę Belejowską. Cena rs. 1.

Marja Teresa w Węgrzech powieść historyczna przełożona przez Sewerynę Pruszakową. Cena k. 75.

Mrowin i *Trock* oryginalnie napisana przez Paulinę Wilkońską. Cena rs. 1.

Pamiętnik młodéj mężatki przekład Joanny Belejowskiéj rs. 1.

KORRESPONDENCJA.

Pani P. Zabo. Ogrody północne przez Strumiłę kosztują rs. 4. Pismo *Święte* przez Tańską rs. 2.

Pani Alinie Wasi. Dykcjonarz Francuzko-Polski kosztuje rs. 9 Les Meditalions i les Confension rs 6 kop 30.

Panu Wacławowi Przy. Przyjaciela Dzieci dostać można od 1-go roku jak zaczął wychodzić po rs. 4 kop. 20 za komplet roczny.

Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki, adresować prosimy: *Do J. K. Gregorowicza, ulica Żabia, Nr. 956 dom Krzemińskiego.*

Do dzisiejszego numeru dołącza się rycina paryzka kolorowana.

w Drukarni K. Kowalewskiego — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj. Redaktor J. K. Gregorowicz.

(Dodatek.)

MACOCHA

POWIEŚĆ

PRZEZ

L. Wilkońską.

Kto pod kim dół kopie, sam weń wpadnie, a kto rozrzuca płot, wąż go ukąsi.

Ecclesia: R. X.

Dwóch panów, obadwaj w latach średnich, i chłopczyk czternastoletni, szli zwolna cienistym chodnikiem ziemińskiego ogrodu.

Było to w czerwcu. Słońce ku zachodowi już się zniżało.

Gdy panowie doszli na koniec ogrodu, zkąd było wyjście na pole, chłopczyk przyskoczył do starszego z nich ujął go za rękę, i prosił:

— Panie professorze! Chodźmy trochę w pole, tak tam miło i powietrze tak świeże!

— Możnaby—odrzekł profesor Godliński—tylko, że to już nieco zapóźno — spojrzał się na zegarek: trzy kwandranse na siódmą.

— To jeszcze dość rychło. Mój panie profesorze!

— A nie spóźnimyż się na herbatę? Panna Miłoszyńska pogniewałaby się na nas, bo i tak dziś jakoś nie w zbyt różannym jest humorze. Panie Wajwrowicz, cóż powiesz: czy można się na dalszą pokusić przechadzkę.

— Myślę, że można ryzykować odrzekł drugi—powietrze pól, to jakby balsam, zwłaszcza też dla nas mieszczuchów. Człek przecież i wyprostuje się trochę, bo siedzieć tak dwie godziny przy fortepjanie, gdy przed obiadem siedziało się cztery, to i krzyż stwardnieje, i rozruszać się potrzeba.

— Ha, to idźmyż, czyniąc zadość prośbom Leonka i chęciom własnym, a potem stawmy się mężnie kwaśnéj mince naszéj pani.

— Przeprosimy, ukorzymy się! wymówił Wajwrowicz, i pierwszy rów przeskoczył.

— Pan Wajwrowicz powie grzeczne słówko a pan profesor co pochwali to i zaraz będzie dobrze—wtrącił Leonek.

— Ejżem, paniczu! pogroził mu Godliński.

— To.. bo.,. no..—jąkał się zarumieniony chłopczyna.

— No, no, już dobrze. Ale proszę trzymać języczek na wodzy. A teraz możesz sobie acan poskakać trochę—i zaledwie to wymówił, a już chłopczyk o kilkanaście od nich odskoczył kroków.

— Dla czego też panna Miłoszyńska w takich dziś kwaśnych sosach? zagadał nauczyciel muzyki.

— A może pan Wajwrowicz nie był dość nadskakujący.

— Moje nadskoki podobno nie tak bardzo są pożądane.

— Hm! hm! — odchrząknął profesor — niemożna wiedzieć. Zresztą wszystkie kobiety to lubią. Jesteś kawalerem, i przecie pokaźnym wcale. Smal więc cholewki!

— Możeby to nawet i próżna była praca, niewdzięczna—uśmiechnął się Wajwrowicz—nienagrodzona. Znasz profesorze włoskie przysłowie:

,,Aspettare, e non venire,
Stare in letto; e non dormire,
Servire, e non gradire,
Sone cose da morire".

— Któżby nie doświadczał wielkiéj prawdy, którą zawiera. Hm, hm! A kiedyż pan Wszemborski ma wrócić?

— Podobno że już wczoraj był spodziewany.

— Aha!... Już przeszło półtora tygodnia jak wyjechał.

— Podobno dni dziesięć, jak mówiła panna Miłoszyńska.

— Pojechał do Raciąża.

— Do państwa Dalewskich.

— A w ostatnich miesiącach coś więcéj wyjeżdżał i zawsze o Raciąż zawadził.

— To jest dawna przyjaźń, jak mi mówiono.

— A tak! Tak jest.

— Ile to już lat, jak pani Wszemborska umarła?

— Cztery minęły.

— Miła to była kobieta?

— Nadzwyczaj przyjemna i zacna, lecz słabowita i nerwowa.

— A panna Miłoszyńska, jakżeż dawno jest już tutaj guwernantką.

— Za życia nieboszczki była dwa lata.

— A zatem sześć. I te panie zostawały zawsze w zupełnéj z sobą harmonii?

— W jak najzupełniejszéj. Pani Wszemborska była osobą łagodną bardzo, dobrowolną, czułą, uznawała że panna Miłoszyńska umie uczyć panienki...

— Więc jéj ulegała.

— Bo też i guwernantka potrafiła ją sobie pozyskać...

— Och, ona jest ze wszechmiar zręczną i umiejętną.

— Potrzeba jéj także oddać sprawiedliwość, że w chorobie pani Wszemborskiéj, doglądała ją z pieczołowitością niezaprzeczoną czem sobie przychylność całéj zjednała rodziny.

— I pan Wszemborski nawykł do niéj, i nie razi go swoją dumą?

— Nie zważa na to wcale! Panienki przywiązały się do niéj, i jako dobry ojciec bardzo to uwzględnia uznaje zarazem, że ona dobrą jest nauczycielką.

— Osoba wykształcona.

— O i pedagogicznie nawet. A co hm! hm! panie Wajwrowicz kochany — zażartował profesor — jakież twoje dla niéj afekta?

— Wielki mam respekt i kłaniam uniżenie.

— To znaczy tyle, co: ja jéj nie chce, ty ją weź! zaśmiał się profesor — tylko, że to ja mam żonę, niestety. Była wszelako chwila, gdzie mnie się

zdawało, że ciebie zadzierzgnęła trochę.

— Gdym ją widział raz pierwszy i drugi, pociągnęła mnie trochę, lecz później zraziła swoją dumą, jako kobieta niedościgłéj wyższością, w obec któréj inne pyłem są tylko— wymówił z przedrzeźnianiem Wajwrowicz.

— Dobrze wszelako uczy panienki.

— Ale czy ich serca pokieruje dobrze.

— Tam matka pierwszy grunt położyła, a czuwa nad niemi ojciec.

— Matka od lat czterech w grobie. Felicja miała lat dziesięć, a Kazia sześć, gdy je odumarła. Co zaś do ojca, to i najlepszy, najtroskliwszy, nigdy tyle na moralną stronę wpłynąć nie potrafi.

— Zdaje mi się, że ona prowadzi je dobrze, są skromne, naturalne, przywiązane do ojca, i kochają się nawzajem bardzo. Felcia już podrasta, a może to i szczęśliwie dla nich, że panna Miłoszyńska tą *podniosłością* swoją, pozostawia je w ich własnej wyobraźni, niższemi, małemi...

— *Marnemi puchami* tylko! zaśmiał się Wajwrowicz. To są ładne istotki i powabne bardzo.

— Felicja jest śliczna, i Kazia ładną będzie bardzo. Matka miała wiele wdzięku, a pan Wszemborski jest bardzo przystojnym mężczyzną.

— To prawda, i młodzieńczo niemal wygląda, pomimo swoich lat czterdziestu dwóch, czy trzech.

W téj chwili chłopczyna nadbiegł, pokazując bukiecik z polnych kwiatów, które dla kuzynek był uzbierał.

— Najwięcéj bratków, wymówił, bo Kazia lubi je bardzo, a kwiatki to ładniuteńkie.

— Panowie szli miedzą daléj, pomiędzy łanami zielonego żyta. Chłopczyk skacząc, raz po raz schylił się, to po wonną macierzankę, to po barwiącą nizkie trawy stokroć.

W salonie obszernego dworu, zkąd drzwi oszklone wychodziły na ogród, już poczyniono do herbaty przybory.

Panna Miłoszyńska siedziała pod wystawą z płóciennym daszkiem, przed którą kwitnące rozpościerały się klomby — i trzymała książkę w ręku, lecz nie czytała, wysełając wzrok zamyślony w przestrzeń powietrzną. Była to osoba najmniéj trzydziestoletnia, ale nie wyglądająca na tyle. Wysoka, dość dobréj tuszy, figury dobréj, przystojna — miała coś nakazującego w całéj postawie. Twarz jéj była dość pospolita, śniada, z czerstwym rumieńcem, usta pełne, duże, nos nieco gruby, oczy małe, szare, lecz bystre i przenikliwe, zęby zdrowe — a włosy niemal czarne i w wielkiéj obfitości. Miała na sobie bluzkę z białego batystu, haftowaną i koronkami naszytą; spódnicę z niebieskiego muślinku, szeroką bardzo; na szyi wstążkę pąsową, spiętą złotą broszą; złote kolczyki do garnituru, i takąż strzałę we włosach. Największym jéj wdziękiem była ręka kształtna, bielutka, wypieszczona, a połyskiwało na niéj kilka pięknych pierścionków.

Naprzeciw, na ławeczce, śliczne siedziało dziewczątko; czternasto-letnia Felicja — wystrzelona w górę, szczuplutka, kształtna; twarzyczka mleczno-biała, przy lekkim róży odcieniu, ślicznych była rysów! nosek jakby wyrzeźbiony pod cyrklem, usta małe, rumiane; zęby jak perełki, a wielkie oczy, istne bławatki, w podłużnéj oprawie. Opuszczone zwoje złotawego włosa, niby aureolą wdzięczne otaczały oblicze. Biała, lekka sukienka, podnosiła anielski urok jéj urody. Trzymała także książkę w ręku i, jak się zdawało, z zajęciem czytała.

Drugie dziewczątko — dziesięcio-letnia Kazia, pomiędzy kwiatami skakała. Była do siostry podobna, ale śniadsza, i włosy miała ciemniejsze. Lica starszéj panienki poważniejszy przysłaniał wyraz — jeżeli nie smętny, Kazia była zawsze uśmiechniętą.

W téj chwili nadchodził służący z torbą pocztową.

— Szymon wrócił z poczty! zawołała dziewczynka, i skacząc nadbiegła.

Panna Miłoszyńska spojrzała. Dobyła kluczyk z kieszonki, otworzyła torbę i wyjęła gazety i listy.

— List od ojca waszego, wymówiła, i mocniejszy rumieniec na jéj wystąpił lica.

Felicja się podniosła i zróżowiała także, Kazia pozostała w miejscu.

Guwernantka list otworzyła, drżącą niby ręką; były dwa arkuszyki złożone. Jeden zatrzymała w ręku—drugi czytać poczęła—i pobladła nagle.

— A! biedne, biedne dzieci!—zawołała, ściskając welin konwulsyjnie w ręku.

— O mój Boże, co to? Felicja załamała ręce, pobladła, i ugięły się pod nią kolana.

— Co, co?... cóż tatko? — pytała Kazia ze łzami w oczach.

— Ach!—panna Miłoszyńska ręką zacisnęła oczy— wasz ojciec... żeni się.... biedne sieroty.

Felicja rzuciła się na krzesło—splotła dłonie — pokraśniała nagle—i wielkie rozwarła oczy, tą przerażona nowiną.

— Kiedy ojciec zdrów tylko!—i Kazia główką kiwnęła.

— Biedne, biedne dzieci!... Kaziu ty nie rozumiesz, ty nie wiesz.... ty nie znasz niedoli całéj!

— Ależ ja rozumiem, całym bólem rozumiem! — zawołała Felicja, rzucając się w objęcie nauczycielki swojéj i głośno zapłakała.

Ujęły się obiedwie w uścisku płacząc, Kazia patrzała się na nie zamyślona i smutna.

Panna Miłoszyńska następnie i ją przycisnęła do serca i nad nią równie popłakała.

— Ach, lecz zapomniałam! — zawołała — jest przecie i do was list od ojca: *Do moich córek*—i drugi oddała im arkuszyk.

— Mnie pan Wszemborski donosi tylko: że się zaręczył z panną Zofją Siemianowską z Podlesia.

Felicja rozwinęła arkuszyk—ręka jéj drżała— i pobladła znowu.

Ojciec czule przemawiając do swoich *kochanych dzieweczek*, donosił im toż samo, dodając: że panna Zofja Siemianowska jest osobą pełną najpiękniejszych przymiotów duszy i serca, i że w niéj kochającą i troskliwą znajdą matkę.

— *Kochającą matkę!*—powtórzyła guwernantka nie bez ironii—tak mówią o każdéj, i każda wielkie ma przymioty. Zwykła to piosenka.

— A może tak jest na prawdę—ozwała się Kazia— bo przecież... ojciec poznaćby się umiał.

— O moja mamo! mamo! mamo!—jękła Felicja,

załamując ręce, blada, złamana—matko droga i ciebież nam teraz ma jakaś obca zastąpić!

— Obca, zupełnie obca!—pochwyciła panna Miłoszyńska—młoda zapewne, piękna i pełna pretensji chodzi jéj tylko o majątek i stanowisko pani Wszemborskiéj, która ojca waszego za nos będzie wodziła, unieszczęśliwi go... was sponiewiera... i tutaj, w miejscu ukochanéj matki waszéj nigdy niezapomnianéj, wszechwładną rozpostrze się panią! A wtedy i ja tutaj będę zbyteczną i pożegnam was...

— Och, Boże, nigdy, nigdy! — zawołała Felicja, rzucając się ku niéj. I Kazia objęła ją rękoma.

— Jeżeli względem mnie zechce być panią, to tego nie zniosę, bo nikt jeszcze lekceważyć mną nie śmiał, i wtedy...

— Byłoby to ostateczne dla nas nieszczęście sieroctwo!—zawołała Felicja, załamując dłonie.

— Pani zawsze musisz być z nami! prosiła Kazia.

— Nie opuścisz nas! — dodała starsza siostrzyczka.

— A może będzie i dobrą — wtrąciła znowu Kazia głosem płaczliwym.

— Byłaś zbyt wielkiem dzieckiem, gdy matka wasza umarła, moja Kaziu najdroższa i nie umiesz poznać się na tem, że to *zupełnie obca* osoba ma ją teraz zastąpić — i nauczycielka przycisnęła dziewczątko do piersi, które rozpłakało się rzewnie.

I tylko płacz tłumiony słyszano.

— Uspokójcie się moje aniołki — odezwała się panna Miłoszyńska po dość długiéj chwili, bo panowie na herbatkę nadejdą, potem uścisnęła obiedwie panienki i weszła do salonu. Wzięła trochę zimnéj wody na batystową chusteczkę i przyłożyła ją do oczów. Stanęła przed zwierciadłem, przygładziła włosy, strzepnęła szeroką spódnicę, i znowu pod wystawę wróciła.

Felicja siedziała ze wspartem na dłoni czołem, zadumana i raz po raz ciche łzy ocierała. Kazia położyła główkę na jéj kolanach, miała rączki złożone ale niepłakała.

Panna Miłoszyńska pocałowała jednę i drugą a potem do ogrodu wyszła, zmierzając ulicą którą poszli panowie. Właśnie też wracali z przechadzki pośpieszyła więc na ich spotkanie.

— Och, panowie! wymówiła, stawając przed nimi i wypieszczone złożyła dłonie — chodźcie, proszę, i pomóżcie mi pocieszać moje panienki.

— Cóż się stało?

— Cóż zaszło? — zapytali jednocześnie obadwaj.

— Nic tak złego! — uśmiechnęła się, lecz to są dzieci, dziewczątka tkliwe. Otóż pan Wszemborski żeni się z panną Zofją Siemianowską, domówiła z wyrazem obojętności zupełnéj.

— Aa! zawołał profesor.

— To prawdziwa nowina! — dodał Wajwrowicz.

— Wujaszek się żeni?! odezwał się Leonek.

— I cóż dziwnego, chłopczyku? musnęła go guwernantka wypieszczoną dłonią.

— A cóż mówią Felcia i Kazia?

— Płaczą.

— Ej! — i chłopczyk pobiegł naprzód do siostrzyczek.

— Panowie nie znacie przypadkiem panny Siemianowskiéj?

— Nie, pani.

— Nigdym o niéj nie słyszał.

— Mieszka ona w sąsiedztwie państwa Dalewskich, jak widzę z listu pana Wszemborskiego. Pisze on, że to jest osoba pełna najpiękniejszych przymiotów i że najlepszą będzie matką. I zapewne, że musi kyć kobietą *dystyngowaną*, inaczéj nie byłby na nią padł wybór ojca dwóch córeczek, ukochanych tyle. Panienki rozpłakały się rozpaczliwie, szczególniéj Felicja. Była to scena rozczulająca.... poniosła chusteczkę do oczów. Biedaczka zaczęła do zmarłéj wołać matki.... tak ją kochała! A to miękkie jest serduszko, Kazia nie tyle rozpacza, boć też to jeszcze dziecko!. Ale musiałam całéj mojéj użyć wymowy, by je nieco uspokoić. Wskazałam im przywiązanie ojca, szlachetność jego i prawość, rozum i męzką rozwagę, a zatem wybrał niewątpliwie kobietę uczuć podniosłych i wyższą pod każdym względem. Płaczą wszelako sierotki. Niechżeż się wypłaczą, a potem lżéj im będzie: łzy ciężą sercu! Zostawiłam je same na chwilę, a teraz pośpieszę naprzód i uprzedzę, że panowie idziecie. Pomożecie mi pocieszyć biedaczki! skinęła im głową i wyprzedzając ku dworowi pośpieszyła.

— A co? zwrócił się profesor do nauczyciela muzyki.

— Ha! zaśmiał się Wajwrowicz i ramionami ruszył.

— *Decepcja!*

— I *rezygnacja* ze stanowiska *wyższości*.

— Trochę niespodzianie.

— Lecz *umiemy* panować nad sobą.

— Otóż to jest *podniosłość ducha*. Teraz uderz panie!

— Dziękuję uniżenie.

— *Par rancune* przyjęłaby.

— Jestem zanadto *poziomy*, *mały*, *niski*, żartował Wajwrowicz.

Nadszedł służący i poprosił ich na herbatę.

Felicja siedziała przy stole z pochyloną głową i zapłakana. Kazia patrzyła się ze współczuciem to na siostrę, to na pannę Miłoszyńską, która nie bez powabu honory przy herbacie czyniła. Leonek stał przy siostrzyczkach.

— Profesor przysiadł się do starszéj panienki i przycichym do niéj przemawiał głosem i pocieszał, a w tém pocieszaniu bardzo moralną dawał jéj naukę.

Felicja słuchała go w milczeniu.

Profesor dawnym był przyjacielem domu i zacnym człowiekiem, a zatém miał prawo przemawiania do jéj serca i rozsądku.

Po wieczerzy zajechał koczyk, który panów do miasta odwoził zwykle. Profesor raz w tydzień przybywał do Ziemina, by panienkom wykładać historją, i zawsze z sobą Leonka przywoził, który był synem ciotecznéj siostry pana Wszemborskiego, a pensjonarzem jego. Nauczyciel muzyki bywał trzy razy w tygodniu.

Leonek dziś poważniéj, aniżeli zazwyczaj, siostrzyczki pożegnał.

Profesor coś tam jeszcze jednéj i drugiéj poszepnął, a potém i pannie Miłoszyńskiéj kilka słów na osobności powiedział.

— Panie profesorze! wyprostowała się dumnie

i podniosła czoło, cóż pan o mnie sądzisz? Czynię co mogę i rozumiem, jak czynić potrzeba. Było to może niewłaściwe postępowanie ze strony pana Wszemborskiego, że mnie już wcześniéj o zamiarach swoich nie uprzedził, znać sam nie wiedział jak sobie począć. A byłabym panienki zwolna przysposobiła do tego co nastąpiło. Cios który spotkał je dzisiaj, nie byłby tak dotkliwym. Lecz stało się! Myślę, że potrafię zranione złagodzić serca. Chodzi tu najwięcéj o Felcię, bo Kazia dzieckiem jest jeszcze, a w tym wieku to i każda rana zabliźni się zaraz. Małostkową nie jestem, panie, wierzaj mi, i umiem z godnością w każdym zastosować się razie.

Profesor się skłonił. Podała mu rękę z uśmiechem uprzejmym.

— Do widzenia za dwa dni! wymówiła, żegnając nauczyciela muzyki. Bywaj zdrów, Leonku!

Odjechali. Felicja położyła się na kanapę, smutkiem swoim znużona. Kazia igrała z bukietem polnych kwiatków od Leonka.

— Wasz kuzynek, jakby w smutnem przeczuciu, tak symbolicznemi obdarzył was kwiatami, zaczęła panna Miłoszyńska, przyglądając się bratkom.

— Jakto? — zapytała Felicja.

— Nie wiecie że bratki zowią się także macoszki *Stiefmütterchen*. Ot, patrzcie, jakie jest podanie o tym kwiatku: listek szeroki, sam jeden mający dwie zielone podpórki, to jest macocha, która wszechwładnie na dwóch rozsiadła się stołkach; obok niéj, a do niéj podobne, z jednéj i drugiéj strony, siedzi dwoje własnych jéj dzieci, i każde swoje wyłączne ma krzesło; gdy oto pasierby: te dwa listki największe, jednobarwne, naprzeciw macochy będące, obadwa na jednym tylko mieszczą się stołku, bo tak biedne owe bratki niesprawiedliwie wyposażyła macocha. Po francuzku kwiatek ten nazywa się *pensée*, a więc daje do myślenia. Napiszcie mi jutro wypracowanie o macosze i bratkach. Felciu masz ładne zadanie, opracuj je z myślą.

Felicja podniosła się z kanapy, i skwapliwie jeden z większych pochwyciła bratków. Przypatrywała się listkom i westchnęła.

— Prawda, wymówiła, że kwiatek ten pobudza do myślenia, bo zkądżeż taki nierówny podział podporek? Niesprawiedliwość to natury.

— Napiszesz mi jutro o tem. A wszakżeż i pan Zegiel jutro tu będzie, to go zapytaj, jak bratki zowią się po angielsku.

Pan Zegiel żył lat dwadzieścia za granicą, we Francji, w Anglji. we Włoszech i nauczył się dokładnie tych języków. Gdy powrócił do kraju znalazł posadę przy wielkiéj cukrowni w okolicy Ziemina i uczył panienki angielskiego języka.

Nazajutrz przeto wielką co do bratków rzucono kwestją. Pan Zegiel wiedział tylko że bratki nazywają się po angielsku *pansy* i *heart's-ease.* Pierwsze wzięte z francuzkiego zapewne, drugie znaczy dosłownie: swoboda serca, spokój, zadowolenie.

— Ale czyjego serca? Macochy oczywiście! — wymówiła panna Miłoszyńska, boć nie biednych bratków.

Felicja wypracowanie śliczne zrobiła. Nic dotąd jeszcze według sądu panny Miłoszyńskiéj, tak dobrze nie opracowała: była poetyczność, uczucie i język piękny. Dziewczynka w natchnieniu pisała, a zbolałe serce podawało myśli i wyrazy.

Guwernantka była nadzwyczaj zadowolona. Pieściła też osmucone dziewczątka, otulała je i na jednę nie odstąpiła ich chwilę.

— Nie opuścisz nas! — powtarzały panienki, nie opuścisz ni w złéj ni w dobréj doli, inaczéj żal by nas zabił!

— Pozostanę z wami, o ile będę mogła, odrzekła i poświęcę się dla was, aniołki moje. Ale, jeżeli mi ubliży, wtedy porzucę wszystko, na własną bacząć godność. Jestem urodzeniem jéj równa, a zapewne wychowaniem i wykształceniem także, skrzywiła z ironją usta, czuję aż nadto wyższość własną w obec małości każdéj i nie zniosłabym jéj dumy, bo i ja dumna jestem! Herb nasz jest dumny, a ojciec mój był sędzią pokoju i tytuł miał jaśnie wielmożny. Przyznacie same, że ubliżyć sobie nie dozwolę. Pojmuję rozumem i z namaszczeniem każdą wielką ideę, rozumiem prawa ludzkości, równości w obec Boga i prawa, bynajmniéj dumną na rodowość kastową nie jestem, lecz gdy mnie pychą swoją kto zrani, wtedy ją sobie przypomnę.

Panienki z pokorą ducha wysłuchały jéj mowy, potem przytuliły się do niéj i płakały.

W pierwszéj zaraz nocy, skaleczona i wzburzona, napisała list do siostry, będącéj za urzędnikiem w X, następującéj osnowy.

„Uderzył nas cios niespodzianie: pan Wszemborski żeni się z jakąś panną Zofją Siemianowską z Podlesia blisko Raciąża. Panienki są w rozpaczy że aż kraje się dusza.

Ś. p. pani Wszemborska czciła i kochała mnie, miała dla mnie uznanie i przeczuwałam jéj jedyne pragnienie, bym została matką jéj sierotek!. Jam choréj nie odstępowała i czuwałam przy niéj całe noce...

Dziewczątka mnie kochają — ubóstwiają niemal — a teraz obca ma być ich matką!... matką... och nie, *macochą!*

Ze strony pana Wszemborskiego jest to czarna niewdzięczność — lekkomyślność młokosa, niedorzeczna, ubliżająca mu, i stawiająca go nisko bardzo. Człowiek w jego wieku, nie może i niepowinien zawierać związku małżeńskiego z szału namiętności, ale raczéj opierać się na rozwadze i na szacunku dla kobiety wybranéj... a jam *tą kobietą być powinna!* Wszakżeż o tem mówiłyśmy nieraz, uważając to niemal jako rzecz pewną.

(d. c. n).



Imp. Gilquin fils, r. des Fossés St J. 3, Paris.

3579

TYGODNIK MÓD

w Warszawie